

♪ [PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: Audycje kulturalne – w dobrym tonie.

ANNA KARNA: Dzień dobry państwu, Anna Karna. Zapraszam na Audycje Kulturalne. Był saksofonistą altowym, aktorem musicalowym, teatralnym i filmowym oraz artystą kabaretowym, ale przede wszystkim był jednym z najlepszych wokalistów w całej historii polskiej muzyki rozrywkowej - Andrzej Zaucha. Zmarł nagle, po postrzale w klatkę piersiową dziesiątego października dziewięćdziesiątego pierwszego roku, mając zaledwie czterdzieści dwa lata. Niedawno ukazała się płyta pod tytułem „Dwa kroki w chmurach” i są to piosenki, których Zaucha nigdy nie wydał. Jak się okazuje, bardzo długo musieliśmy na nie czekać. Gościem Audycji Kulturalnych jest dziennikarz muzyczny, dyrektor Programu Pierwszego Polskiego Radia, Marcin Kusy. Dzień dobry.

MARCIN KUSY: Dzień dobry, witam ciebie, witam państwa.

ANNA KARNA: „Lubię pracować z różnymi ludźmi. To manifestowanie mojego zachowania się jako jazzman. Człowiek, który jest jazzmanem gra ze wszystkimi i nie czuje się związany konwencjami.” Tak mówił Andrzej Zaucha Polskiemu radiu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku. Album, o którym dziś rozmawiamy, rzeczywiście tej różnorodności dowodzi. Zastanawiam się tylko, dlaczego na wiele z tych utworów musieliśmy tak długo czekać. Niektóre z tych piosenek czekały na swoje wydanie ponad czterdzieści lat.

MARCIN KUSY: Przyczyn pewnie może być kilka: niedomogi polskiej fonografii, która nie nadążała w latach i siedemdziesiątych, i osiemdziesiątych, za takim dość płodnym sposobem pracy Andrzeja Zuchy. To, o czym powiedziałaś, było i jego walorem i jego zgubą jednocześnie. Ta otwartość na współpracę z różnymi ludźmi. Ludzie z tamtych czasów opowiadają, że Andrzej Zaucha nikomu nie odmawiał. Czy to była piosenka do kreskówki, występ w kabarecie, gościnny występ na początku w Teatrze Stu, współpraca z blues-rockową grupą, czy dogranie jakiegoś chóru, nie było problemu. Andrzej zawsze był. Mówię „Andrzej”, choć nie znałem nigdy pana Andrzeja, ale ci, którzy z nim pracowali, zawsze byli z nim na „ty”, stąd cytując ich, powtarzam. I myślę sobie, że ta mnogość współpracy różnych Andrzeja Zuchy, który był absolutnie genialnie wszechstronny i on to doskonale wiedział, że niezależnie od tego, jak napięty ma grafik i jak wypełniony kalendarz, jest w stanie bardzo szybko przyjechać do studia i jak nikt inny, w perfekcyjny sposób zaśpiewać to, czego się od niego oczekuje. Natomiast wydaje mi się, że nie do końca dbał o to, co się później dzieje z tymi piosenkami. Podążał dalej. Właściwie to, co zostało zrobione, zostawiał innym. Czy to się ukazało na stronie B singla, czy na jakiejś przypadkowej składance, czy w ogóle się nie ukazało, czy może zmieściło się do jakiegoś programu telewizyjnego, a może się nie zmieściło. On gonił już za następnymi rzeczami. Może i to jest kolejna przyczyna. Gdyby miał takiego naprawdę oddanego menadżera, z prawdziwego zdarzenia. Nie chcę tutaj mówić o Pułkowniku Parkerze, ale... ale chodzi mi o kogoś takiego faktycznie, kto byłby przy nim i pilnował jego interesów, to pewnie sprawy wyglądałyby zupełnie inaczej. Proszę zauważyć, że ta dyskografia Andrzeja Zuchy, ona również jest taka rwana, dość przypadkowa. Właściwie jedyną jego taką płytą koncepcyjną, przemyślaną, jest album nagrany z Big Bandem Wiesława Pieregórki, który jest taki od początku do końca pewnym conceptem. Reszta, to są zbiory nagranych wcześniej, później, piosenek, które umieszczane są na albumie. Może krzywdzę w tej chwili jeden z

albumów przygotowanych przez Jarosława Dobrzyńskiego, ale wydaje mi się, że tutaj też najpierw zaistniało to wszystko singlowo, potem postanowiono, że parę tych piosenek umieszczą na płycie.

ANNA KARNA: Ale może z tego, co mówisz, wynika, że dla Andrzeja Zauchy ważna była ta droga, to tworzenie? A już potem, jak powstał utwór, to żył swoim życiem.

MARCIN KUSY: Myślę sobie, że najważniejszą rzeczą mimo wszystko były koncerty i to był żywioł niesamowity, niezależnie od tego, czy grał go ze swoim zespołem, czy z Big Bandem, czy to były Zaduszki Jazzowe, czy Opole, to jego, krótko mówiąc, porywała publiczność iniosła publiczność. I myślę, że to było tak naprawdę solą, jeśli chodzi o jego takie emploi artystyczne. I myślę sobie też, że w szerszym kontekście, tej polskiej pop kultury i tych naszych wokalistów, którzy mieli charakter, mieli charyzmę, własne brzmienie, własną osobowość, nigdy w jakiś sposób nie dopełnili tego, jeśli chodzi o popularność, a właściwie taką dosłowną ocenę, czy też docenienie przez publiczność. Brakowało tego zawsze Krzysztofowi Krawczykowi. Wiem to na sto procent i myślę, że... ja wiem, że to się, truizm w zasadzie, że po śmierci, no, Krzysztof byłby szczęśliwy, kiedy zobaczyłby, ile koncertów, ile wykonan, ile słów padło pod jego adresem, ale tak było. Podobnie było z Zauchą, który za każdym razem jakby nie dowierzał, że to, co on robi, to jest dobre. Mimo że on stwarzał taką pozę, nawet w tych wywiadach telewizyjnych, że „wie pan, ja mam poczucie własnej wartości i tak dalej”, skądinąd z rozmów ze swoimi przyjaciółmi kompletnie to nie wynikało, że „nie zrobiłem jeszcze czegoś, z czego naprawdę byłbym dumny. Okej, śpiewam jazz, no dobrze, łatwo mi Georgię. Mam to już, tak? Zaśpiewam to wiele razy, uwielbiam Raya Charlesa, robię własną interpretację i nie mam z tym problemu. Zaśpiewałem już tyle rzeczy.”, ale nie było takiego momentu, w którym właśnie Zaucha się zatrzymał: „O! W tym momencie.”.

ANNA KARNA: To jest to.

MARCIN KUSY: To jest to. To jest właściwie tutaj magnum, opus apogeum tego, co ja byłem w stanie stworzyć.

ANNA KARNA: A może był za młody? Pamiętajmy, że był czterdziestolatkiem, kiedy zginął.

MARCIN KUSY: Masz rację, tak. Bo my dzisiaj jesteśmy mądrzy o te kolejne trzydzieści dwa lata, które minęły od jego śmierci i traktujemy to trochę, jakby ten czas wypełniony był obecnością Andrzeja Zauchy, który... nie lubię gdybania, ale możliwości, jakie stwarzały nawet już lata dziewięćdziesiąte, czy spotkanie z młodą kadrą, że tak powiem, i młodym narybkiem muzycznym i producentami w dwutysięcznych latach, ale żeby podać dwa przykłady: Andrzeja Smolika, który zaopiekował się Krawczykiem, albo Mitchami, którzy nagle wywindowali Zbyszka Wodeckiego na zupełnie inny poziom, to nie wiemy, co by się wydarzyło tak naprawdę. I tak, rzeczywiście opieramy się repertuarze, który pozostał i na tym Zausze, który tak wiele miał jeszcze do zrobienia, a po prostu czas mu na to nie pozwolił.

ANNA KARNA: Ten album, to dziesięć zebranych piosenek plus dwa bonus tracki i to, co pojawiło się na mojej twarzy po przesłuchaniu tych piosenek, to po prostu wielki uśmiech. Ileż tam jest dystansu, poczucia humoru i takiego zawadiackiego temperamentu Zauchy.

MARCIN KUSY: Teksty są świetne, muzyka jest świetna, sam Zaucha jest świetny jako interpretator. Facet, który nie tylko wchodzi do studia po to, żeby zaśpiewać dany tekst, ale on czuć, że to, on to rozumie. Tam jest wszystko poukładane. To nawet, jeżeli on, mam takie poczucie, czasem spieszył się podczas niektórych sesji, zwłaszcza, że gro tych sesji, to były sesje radiowe. Orkiestra w radiu musiała grać, czy to był Debich, czy Górny w Poznaniu, czy Milian w Katowicach. Orkiestra grała, była na etacie, przyjeżdżał wokalista, czy to był Wodecki, Zaucha, Prońko czy Lora Szafran i po prostu no: „To co robimy?“, „No, trzy piosenki robimy dzisiaj.“. No to, to pstryk, to robimy.

ANNA KARNA: I tak było z Zauchą, że on wchodził podobno w futrze, w kurtce, zdejmował, śpiewał, wychodził i było idealnie.

MARCIN KUSY: Tak, bo miał to coś, o czym wszyscy mówią, że to miał i nikt nie potrafi tego określić.

ANNA KARNA: Co to jest?

MARCIN KUSY: I ja tego też nie, nie określe, natomiast jestem przekonany, że miał jedną rzecz, o której wszyscy lubią mówić, że to groove, inni mówią, że to był time, inni mówią, że wiedział, gdzie jest raz, a gdzie pięć, a ja uwielbiam, kiedy zapytany kiedyś Ginger Baker, czyli legendarny bębniarz Creamów, a później Air Force, ale także to był człowiek, który, właściwie postać-instytucja. Grywał z wieloma afrykańskimi składami, co ważne i świetnie odnajdywał się w tym takim nurcie afro jazzu, czy afro funku, który, no właśnie za podstawę ma rytm i Ginger Baker lubił mawiać, że on od najmłodszych lat czuł, że ma „puls“. I lubię tego określenia używać w przypadku Andrzeja Zauchy. Uważam, że wszystko u niego brało się z rytmu. To, w jaki sposób stawia frazę, intonuje. Jak zauważyłaś, on się tym bawi, to czuć tutaj pewną swobodę, tylko to jest rzecz poukładana. Nawet w tym jego niepoukładaniu. Powiedziałaś o tym łotrzykowskim błysku takim, no, bo myślę, że gro tych tekstów, po prostu on w jakiś sposób się w nich czuł, on się w nich odnajdywał.

ANNA KARNA: Żeby powiedzieć państwu konkretnie, jest taka piosenka pod tytułem „Nie takie mnie kochały“ i oto, co śpiewa Andrzej Zaucha: „Oj, nie takie już mnie kochały i szalały tu za mną panny, kupowały mi wciąż szampany i na jachty mnie porywały i prosiły mnie i płakały, abym mężem był i był panem“.

MARCIN KUSY: Tak, no to, to jest... Nie potrafię sobie tego wyobrazić, że taki utwór, jak „Nie takie mnie kochały“ przeleżał w ogóle niezauważony. On zaistniał gdzieś, w jakimś programie telewizyjnym, znaczy „w jakimś tam“, konkretnie „Mężczyzna na każdy dzień tygodnia“, ale że to nie był przebój, że to nie zostało podchwyczone. Być może ten nieco przewrotny tekst. Co tu dużo mówić, dzisiaj nieco ryzykowny, nawet moglibyśmy powiedzieć.

ANNA KARNA: Nie wiem, czy by powstał w ogóle.

MARCIN KUSY: I nie wiem, czy dzisiaj by w ogóle ktoś odważył się w ten sposób napisać. No, ale Andrzej Zaucha właśnie miał to coś, że nawet, jeżeli ktoś, zakładam, mógłby poczuć się nieco urażony, powiedzmy sobie, nieco niestosowną formą tego tekstu, to wykonanie,

interpretacja Zauchy od razu wskazywała, że zaraz, halo, my tu mamy do czynienia z pewnym pastiszem. Puszczamy oko do słuchacza. I niektórzy muszą o tym powiedzieć „Proszę państwa, teraz będzie taka żartobliwa piosenka i proszę nie brać tego dosłownie.”. Zaucha tego nie musiał mówić, to po prostu od razu się wyczuwało, że ten facet, który wychodzi, nie musiał nawet używać swojego physis, które było dość zabawne w opozycji do jego głosu, jakże głębokiego, tylko ten głos już powodował, że my doskonale wiedzieliśmy, kiedy Zaucha żartuje, a kiedy to jest serio, kiedy śpiewa o swojej niebieskiej bramie i o tym, że ją niebawem przekroczy. Ale myślę sobie też, że takich piosenek w jego repertuarze było mnóstwo. Pamiętają państwo na pewno „Myśmy byli sobie pisani” na przykład, tak? Gdzie ten, ten Jędrzek Zaucha musi się pogodzić ze stratą swojej pani, co to przyszli razem na plażę, ale odeszli już osobno, więc takich tekstów było mnóstwo, ale tutaj myślę, że ten aktorski sznyt i ten talent, ta intuicja jego niesłychana, także się objawiały w tej interpretacji piosenki.

ANNA KARNA: A propos tej piosenki, to znalazłam taką informację, że właśnie zarówno Zaucha, jak i Jerzy Jarosław Dobrzyński, obaj uważali, że to nie jest najlepszy utwór. Moglibyśmy sobie życzyć więcej takich „nie najlepszych utworów”, a jeszcze dodam informację, że ten tekst jest tekstem kobiety. Napisała go Magdalena Wojtaszewska. Ale chcę cię zapytać o kompozytorów, o tę różnorodność, bo rzeczywiście Andrzej Zaucha współpracował z bardzo różnymi kompozytorami, aranżerami i z bardzo różnymi orkiestrami, zespołami właśnie i tu też możemy zobaczyć tę różnorodność.

MARCIN KUSY: Tak, bo to byli kompozytorzy z tak zwanego jeszcze, no, nie chciałbym też nikogo urazić, ale mówię w dobrym tego słowa znaczeniu, z tak zwanej starej szkoły, co znaczy, że to nie byli kompozytorzy matematyczni, którzy dodają do siebie akordy, tylko oni doskonale wiedzieli, że pisząc linię melodyczną, oni czuli już od razu aranż tego wszystko, co zostanie stworzone. Tu mówimy o Maleckim, czy o Komanie, czy o Śmietanie, czy o Jerzym Cierpiałku. Piękne jego dwie piosenki są jako bonus tutaj, na tej płycie. To to byli kompozytorzy, którzy doskonale wiedzieli, co chcą osiągnąć. To nie było tak, że „acha, to teraz zrobię coś na tak zwanych dwóch funtach, a później w studiu okaże się, co z tym zrobić dalej”. Przypomnę, że grały fantastyczne orkiestry Polskiego Radia i Telewizji wówczas, bo to były połączone rzeczy. To był Górny, zresztą tutaj w połączeniu z takim, z taką sekcją Janusza Komana, to był Debich, to był Milian, to wreszcie zespół Stefana Sandeckiego - genialnego, wspaniałego muzyka. To była absolutna ekstraklasa. Nawet nie powiem „pierwsza liga”, to była absolutna ekstraklasa i muszę państwu powiedzieć, że ja nie traktuję w ogóle tej płyty, jako płyty odnalezionnej. Nie traktuję jej, jako kompilacji. Nie traktuję jej, jako nawet wypełnienia pewnej białej plamy w dyskografii Andrzeja Zauchy, tylko traktuję ten album, jako pełnoprawny album, który Zaucha mógłby po prostu wydać pod koniec lat osiemdziesiątych, jako swego rodzaju podsumowanie choćby współpracy, czy tego wycinka współpracy ze wspaniałymi orkiestrami, czy kompozytorami. To jest na tyle spójne, to jest po prostu pewien koncept, który tutaj się zgadza. Dominuje takie funky soul disco nawet momentami, albo jak kto woli, dobry pop. Ktoś mówi: „Co to jest dobry pop?”. No, dobry pop, to jest Simply Red i Tina Turner i dobry pop, to jest między innymi „Byłaś serca biciem” Andrzej Zaucha, albo te piosenki, które są mniej znane i które zaistniały na jakichś kompilacjach, albo w ogóle nie zaistniały, o czym mówiłaś, tylko zostały wydane po raz pierwszy od wielu lat, ale ta płyta jest szalenie ciekawa, jako po prostu album, a nie jako ciekawostka i tak bym państwa namawiał, żeby interpretować i słuchać tej płyty.

ANNA KARNA: Czy te piosenki słucha się, jak ogląda się album z dobrymi, starymi zdjęciami, czy można o nich powiedzieć, że to są współczesne utwory?

MARCIN KUSY: Muszę tobie i państwu powiedzieć, że w porównaniu z produkcją tak zwanych płyt rockowych z lat osiemdziesiątych, które mają bardzo duże niedomogi i tam pozostawia brzmienie bardzo dużo do życzenia i nie winię tutaj broń Boże ani realizatorów, ani samych zespołów, które jako młode bandy wchodziły do studia i zdane były tak naprawdę na poszczególnych, nazwijmy to, producentów, czy też panów doradców, bo bardzo często to była osoba, która kompletnie nie miała pojęcia ani o kręceniu tak zwanymi „gałkami na stole”, ani o tym, co to ma być, tylko właściwie jedynym takim ich celem było to, ile można by było z tego zespołu wycisnąć, więc bardzo często piosenki są bardzo dobre, a brzmienie tych zespołów jest po prostu koszmarnie. No i to słysząc między innymi grając dzisiaj z tych winyli, które ukazywały się w rozmaitych wytwórniach, natomiast to brzmienie funkowe, to brzmienie orkiestrowe, ono się moim zdaniem kompletnie nie zestarzało. Mało tego, jest na nie moda. To wiedzą wszyscy mix-tape'owcy. Ci, którzy szperają w polskiej muzyce lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, którzy nagle odkrywają takie sample i takie frazy, które im się świetnie komponują w tych ich re-workach. Przepraszam, że ja tej nomenklatury używam, „re-worki, mix-tape” i tak dalej. Chodzi o to, żeby dodawać coś od siebie, nie wiem, bit, szmerek, ambient, cokolwiek takiego, co wzbogaca utwór, który już był, powiedzmy sobie, albo doskonale znany, albo w ogóle nieznanym i tworzy się z niego taki kompletnie nowy mix. Tak, jak tworzy to ten cały kolektyw zgromadzony wokół Very Polish Cut Outs. I Zaucha był zawsze bardzo wdzięcznym tematem. Ja śmiem twierdzić, że tutaj rozmawialiśmy o „Nie takie mnie kochały”, wielbiciele hip-hopu być może wcześniej poznali ten utwór jako backstage kolektywu PRO8L3M, bo tam był sample z tego nagrania, niż Zaucholodzy tak naprawdę, tak? I te nagrania Debicha i nagranie orkiestry Miliana. I Janusz Koman, który uważam, że grał najlepsze funk w tym kraju. Absolutnie nie odbiegające jakimś poziomem tutaj i pomysłami aranżacyjnymi od wielkich europejskich, a nawet być może amerykańskich. Miał szalenie otwartą głowę i spotkanie krótkie i za krótkie moim zdaniem, Zauchy z tym kompozytorem i aranżerem, no, mogło w przyszłości przynieść jeszcze wiele fantastycznych piosenek. Tak się otwiera ta płyta, od „Domu złej dziewczyny”, która była na takim singielku stroną B innego genialnego nagrania, czyli „Wieczór nad rzeką zdarzeń” i tam też Koman komponuje, a Jerzy Kondratowicz pisze tekst i uważam, że to jest jedna z najwspanialszych w ogóle piosenek i w tym rytmie funkowym. I tam, proszę państwa, też podobnie, jak w „Domu złej dziewczyny” czuć, jak ten „puls” Andrzeja Zauchy buduje utwór, w których momentach on się nazywa i jak buduje napięcie, gdzie jest niżej, gdzie jest wyżej. On to wszystko, mam takie poczucie, wiedział intuicyjnie. Nie uczył się tego, on to po prostu miał.

ANNA KARNA: Płyta nosi tytuł tak, jak jedna piosenka „Dwa kroki w chmurach”, to jest utwór z kolei Śmietana, ze słowami Książka i o tym utworze Andrzej Zaucha powiedział na piętnastolecie jazz klubu w Jaszczurach w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku w ten sposób: „Chciałbym państwu zaśpiewać piosenkę prawie że jazzową z tego względu, że napisał ją Jarek Śmietana. Dedykuję ją wszystkim jazzmanom, którzy tu wystąpili i wystąpią.”. Piękny, romantyczny tekst. Pokazuje nam też taką twarz Andrzeja Zauchy właśnie romantycznego, sentymentalnego artysty. Zupełnie z kolei inna przestrzeń.

MARCIN KUSY: Tu wracamy do tej wszechstronności, o której mówiłaś, że to mógł być trochę facet albo przegrany i o tym zaśpiewać albo facet, który zastanawia się nad swoim życiem, co się takiego wydarzyło i rozlicza się z nim albo śpiewać o tym, że myśmy byli sobie pisani i puszczać oko do publiczności, już nie wspomnę o „Alibabie” i „Pij tylko mleko”, ale potrafi być taki, no, poważnie-nostalgiczny i taki, jak jest w tych „Dwóch krokach w chmurach”. Był świetnym interpretatorem. Wyczuwał doskonale, w jaki sposób, jaki tekst powinien zinterpretować. Bywał łotrzykiem, bywał wesołkiem, ale bywał też, no, bardzo poważny, kiedy rozliczał się, jako podmiot liryczny tak zwany, ze swoim życiem. Tu, w tym przypadku mamy świetny tekst Zbigniewa Książka, ale też naprawdę wyjątkową muzykę Jarosława Śmietany, którego jazzowe harce z Extra Ballem to były raczej połamane jazz-rockowe rzeczy, w których Zaucha, mówię o koncertach, choćby w Jaszczurach przywołanych przez ciebie, w których musiał się wyrabiać, a tutaj mamy piękny tekst i do tego, no, muzykę taką niebanalną, jeśli chodzi o Jarosława Śmietanę. Od siebie mogę tylko powiedzieć, bo kiedyś postawiłem przed sobą takie zadanie, że będę szukał rozmaitych inspiracji w kompozycjach, które śpiewał Andrzej Zucha. Dla mnie, proszę państwa, to jest ni mniej, ni więcej, tylko „Just the two of us” Billa Withersa i Grovera Washingtona. To jest, proszę zauważyć, że tam są bardzo duże podobieństwa. Mimo że to jest melodia dokładnie taka sama, ale pewne rozwiązania aranżacyjne wskazują i ten kroczący taki rytm, niespiesznie, no i ten Zaucha, który śpiewa tu tak, jak ja lubię. Ci, którzy słuchają reggae, wiedzą, o co chodzi. W reggae się śpiewa trochę do tyłu. I ten Andrzej tutaj zwalnia frazę. I to jest bardzo piękne, bo ten tekst jeszcze ma szansę takiego bardzo szerokiego wybrzmienia. Nie dziwię się, że wydawca postawił na „Dwa kroki w chmurach”, jako taki wiodący tutaj, powiedzmy utwór, który nadaje rytmom całości.

ANNA KARNA: Gdzieś znalazłam informację, że w archiwach radiowych i telewizyjnych Andrzej Zaucha pozostawił po sobie ponad trzysta niewydanych piosenek. Zastanawiam się, czy to jest lista zamknięta.

MARCIN KUSY: Myślę, że nie do końca. Sądząc po tym, jak bardzo płodnym artystą był Zaucha i zapraszany do wielu przedsięwzięć, to niekoniecznie musi być liczba zamknięta. Ja myślę, że nawet, gdybyśmy zapytali tych, którzy grają do dzisiaj w Kasie Chorych, z którym to zespołem też Andrzej nagrywał, to myślę, że też z jakichś sesji są kolejne nagrania, które po prostu się nie ukazały, albo nie weszły, albo na przykład sam artysta się nie zgodził, bo powiedzmy, były mniej udane. No nie chcę tu wymieniać kolejnych zespołów, które dzisiaj są bardzo zapomniane typu Kwadrat. Trochę tych utworów się ukazało, ale nie wszystkie, takie mam poczucie. To są przede wszystkim te przepastne archiwa radiowe, ale i archiwa telewizyjne i rozmaite programy rozrywkowe, do których specjalnie zapraszano artystów, żeby nie tylko śpiewali nowe, premierowe utwory, ale także, żeby interpretowali cudzą twórczość i myślę sobie, że wartością samą w sobie też jest to, w jaki sposób Andrzej Zaucha śpiewał nie tylko Raya Charlesa, ale też piosenki Steviego Wondera. Chętnie bym tego w dobrej jakości posłuchał. Dzisiaj jest to, przynajmniej na ten moment, niemożliwe. Ogromny dorobek, trochę bałaganiarski, jeśli chodzi o polską fonografię, ale na szczęście takie płyty, jak „Dwa kroki w chmurach” troszeczkę nam to wszystko porządkują.

ANNA KARNA: Album kończy się piosenką „Zanim zastukam do niebieskiej bramy”, która no, dziś brzmi trochę, jak przepowiednia... Pozwolę sobie znowu zacytować: „A gdy zastukam do niebieskiej bramy, z kurzów jesiennych otrzępię kolana. Być może Święci spojrzą na mnie

wilkiem, że nie bogaty wchodzę w rajską sień. Mam za pazuchą te piosenek kilka, jasne oczęta i niejeden grzech.”.

MARCIN KUSY: Tak, cudny tekst w ogóle. I ta piosenka, ona nie ma łatwej formy. To nie jest jakiś taki bardzo melodyjny przebój, to nie jest „My way” w wykonaniu Sinatry, gdzie jest tekst, ale też ta melodia, która nas tak kłiwie niesie. To jest, powiedziałbym spowiedź i refleksja człowieka, który... no, różnie bywało w tym jego życiu i niekoniecznie tak to wszystko pięknie szło do tego końca, tak? Tylko ma tam sporo za uszami i on czuje, że nie wchodzi taki spełniony, taki czysty do zupełnie nowej rzeczywistości i z tym tekstem, i tutaj chwała kompozytorowi, współgra też muzyka, która ma sporo takich momentów połamanych nieco, w których Zaucha śpiewa niżej i ta interpretacja też powoduje, że czujemy pewien niepokój. I ta piosenka nie jest takim credo życiowym, że teraz rozliczam się z życiem, przechodzę na drugą stronę. Ona ma w sobie pewien niepokój, niepokój zmiany, której mam wrażenie wszyscy, niezależnie od naszej wiary czy niewiary, trochę się obawiamy i to jest świetnie w tej piosence przekazane, a ten tekst, to znowu nawiązuje do tej łotrzykowskiej natury Zauchy, o tych jasnych oczętach zalotnych i o tych kilku piosenkach za pazuchą. Tak sobie myślę jakby, o tych piosenkach za pazuchą, że oni jeździli tak w te trasy, jak opowiadają niektórzy, którzy widzieli samochód Zbigniewa Wodeckiego, który przejeżdżał trasę, powiedzmy sobie ze Szczecina gdzieś do Zamościa i kiedy panowie wysiadali, a na miejscu pasażera siedział Zaucha, a na miejscu kierowcy siedział Zbigniew Wodecki, to Zausze nie było widać butów, bo były całe przysypane pestkami od słonecznika i oni całą tę trasę jedli te słoneczniki, a potem wyciągali te kilka piosenek z za pazuchy i dawali ludziom mnóstwo radości. Myślę, że to chyba jest bardzo ważne, że w jego twórczości, w ogóle w jego podejściu, jego cieszyło śpiewanie, ale cieszyło go też, że jego śpiewanie cieszy innych.

ANNA KARNA: Wielka tęsknota za Andrzejem Zauchą, ale wróć do tego, co powiedziałam, też uśmiech na twarzy, kiedy słucha się tej płyty. Polecamy państwu „Dwa kroki w chmurach”. Dziękuję bardzo za to spotkanie. Gościem Audycji Kulturalnych był Marcin Kusy.

MARCIN KUSY: Bardzo dziękuję. Polecamy „Dwa kroki w chmurach”. Dziękuję państwu.

♪ [PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: Audycje kulturalne – w dobrym tonie.